

O. Jacek Salij OP¹
WT UKSW, Warszawa

ROZUM I WIARA POTRZEBUJĄ SIĘ WZAJEMNIE WYWIAD PRZEPROWADZIŁ BOGUMIŁ ŁOZIŃSKI²

Kwestionowanie boskości Chrystusa na drodze intelektualnych dociekań wpisuje się w nurt tzw. teologii liberalnej, która programowo odcina się od wiary. Choć to dziwne, już od dwóch wieków rozwija się ona na wydziałach teologicznych, zwłaszcza protestanckich, ale również katolickich, i położyła ogromne „zasługi” w dziele dechrystianizowania Europy.

Bogumił Łoziński: *W ostatnich czasie głośno było o wystąpieniu z Kościoła katolickiego znanego teologa, wcześniej księdza, prof. Tomasza Węclawskiego. Analiza jego wykładów wskazuje, że powodem tego kroku była refleksja teologiczna prowadząca do utraty wiary w boskość Chrystusa. Czy można stracić wiarę na drodze intelektualnych dociekań?*

O. prof. Jacek Salij: Św. Paweł mówi, że wiara to skarb wielki, który Bóg złożył w gliniane naczynia. Ze względu na kruchość naczynia stosunkowo łatwo skarb ten utracić. Wprawdzie nie umiem sobie wyobrazić, że również moja wiara mogłaby ulec podobnemu roztrzaskaniu, to jednak zamiast osądzać to, co się stało z Tomaszem Węclawskim, wolę sobie przypomnieć inne jeszcze słowa apostoła Pawła: „Ten, komu się zdaje, że stoi, niech uważa, żeby sam nie upadł”. Odnosząc się do pytania, proponuję spojrzeć na nie z drugiej strony: czy na drodze intelektualnych poszukiwań można dojść do wiary? Właśnie na tej drodze szukał wiary św. Augustyn, badacz niezwykle inteligentny, któremu żarliwie zależało na poznaniu prawdy. Kiedy jednak w końcu osiągnął niezachwianą pewność, że prawda ostateczna znajduje się w Kościele katolickim, zarazem wiedział z całą pewnością, że wciąż jeszcze jest człowiekiem niewierzącym.

Czyli intelektualne dojście do przekonania, że prawdy wiary przekazywane w Kościele katolickim są słuszne, nie oznacza jeszcze wiary?

¹ O. prof. dr hab. Jacek Salij, kierownik Katedry Teologii Dogmatycznej UKSW w Warszawie.

² Tekst jest przedrukiem – za zgodą redakcji i osób zainteresowanych – wywiadu Bogumiła Łozińskiego z O. Jackiej Salijem, zamieszczonym w: „Dziennik” 9-10.02.2008, s. 14-15.

Gdyby św. Augustyn dysponował wyrazem „światopogląd”, powiedziałby zapewne, że w tamtym momencie, chociaż dopracował się już katolickiego światopoglądu, to jednak nie umiał jeszcze uwierzyć.

Światopogląd to poniekąd ciało wiary, jej duszą jest zanurzenie się w Bogu, który żyje, kocha, obdarza i którego ja mogę kochać i Jemu się zawierzać. Dopiero w relacjach z Bogiem poszczególne prawdy wiary składające się na katolicki światopogląd nabierają właściwego im sensu. Jeżeli mojej wiary nie będzie ożywiała miłość Boga i bliźnich, jeżeli nie będą jej ożywiały moje żywe relacje z Bogiem, mój światopogląd będzie jak martwe ciało, które podlega nieuchronnemu rozkładowi.

W takim razie czym jest wiara?

Wiara to uzdolnienie do osobowych relacji z Bogiem. Jest ono darem łaski, bo przecież sami z siebie niewiele możemy wiedzieć o tym, jak bardzo Bóg nas kocha i że chce się z nami zaprzyjaźnić. Augustyn poczuł się człowiekiem wierzącym dopiero w momencie, kiedy pod wpływem słów apostoła Pawła ogarnęła go pewność, że Bóg uzdolni go do tego, co go zupełnie przekraczało. Jak wiadomo, Augustyn po latach nieliczenia się z Bożymi przykazaniami wiedział, że pełna wierność przykazaniom, zwłaszcza w sferze seksualnej, przekracza jego siły, jest dla niego czymś nieosiągalnym. W momencie, kiedy powiedział swoje „tak” Chrystusowi, wiedział, że jest to zarazem bezwarunkowe „tak” Bożym przykazaniom. Równocześnie wiedział, że łaska Boża uzdolni go do tego, do czego sam z siebie byłby niezdolny.

Można też powiedzieć, że wiara jest przestrzenią naszego dojrzewania do życia wiecznego. Tomasz z Akwinu powie, że jest ona załącznikiem życia wiecznego w nas, początkiem tego przekraczającego wszelką wyobraźnię poznania Boga, które będzie naszym udziałem w życiu wiecznym. To wyjaśnia trochę, dlaczego wierze nieraz towarzyszą ciemności. Ich źródłem jest brak proporcji między nieskończonością Boga i skończonością naszych umysłów, ale również pochodząca z naszych grzechów ciemna nieufność wobec Niego. Dopiero światło łaski może te ciemności rozświetlić – i wówczas to, że Bóg jest nieskończony, zaczyna nas fascynować, a w miejsce niesprawiedliwych wobec Boga podejrzeń przychodzi wręcz dziecięce zawierzenie się Bogu.

Czy w świetle tych definicji można powiedzieć, że prof. Węclawski, kwestionując boskość Chrystusa, porusza się w sferze intelektu, a nie wiary?

Moja własna intelektualna przygoda z wiarą potwierdza starą intuicję przypominaną w encyklice „Fides et ratio”, że rozum i wiara wzajemnie się wzbogacają i wzajemnie potrzebują. Jeżeli ktoś sądzi, że rozum należy od wiary odciąć, to ja takiej postawy nie rozumiem.

Kwestionowanie boskości Chrystusa na drodze intelektualnych dociekań wpisuje się w nurt tzw. teologii liberalnej, która programowo odcina się od wiary. Choć to dziwne, już od dwóch wieków rozwija się ona na wydziałach teologicznych, zwłaszcza protestanckich, ale również katolickich, i położyła ogromne „zasługi” w dziele dechrystianizowania Europy. Dość sobie uświadomić, że na teologię z zasady zgłasza się młodzież głęboko wierząca, pragnąca przygotować się do posługi duchownego lub nauczyciela religii. Łatwo sobie wyobrazić, jakimi głosicielami wiary jest później wielu z nich, jeżeli podczas studiów ich profesorowie, zamiast pomagać im w pogłębieniu wiary, raczej ją niszczyli. Patrząc z tej perspektywy, mam sporo szacunku dla decyzji prof. Węclawskiego.

Jakie są założenia tzw. teologii liberalnej?

Teologię liberalną cechują dwa wyrosłe z mentalności oświeceniowej założenia. Po pierwsze negacja udziału Boga w naszych ludzkich sprawach. Praktycznie oznaczało to zwątpienie nie tylko w Bożą Opatrzność, ale nawet w realność Bożego objawienia, również tego, jakie się dokonało w Jezusie Chrystusie. Z odrzucenia zaś objawienia wynika drugi aksjomat teologii liberalnej: że postać Chrystusa została utworzona przez wiarę Kościoła i radykalnie różni się od historycznej osoby Jezusa z Nazaretu. Stąd pragnienie dotarcia do „prawdziwego” Jezusa jest od stu pięćdziesięciu lat niemal obsesją teologów liberalnych.

Spokojną, ale druzgocącą krytykę teologii, a zwłaszcza biblistyki liberalnej, przeprowadził obecny papież w książce pt. „Jezus z Nazaretu”. Przynajmniej wykazał jej doktrynerstwo: że jej tezy wynikają zazwyczaj z uprzednio przyjętych założeń, zamiast z rzetelnego wczytania się w teksty źródłowe. Wykazał, że jest to biblistyka bardziej ideologiczna niż naukowa.

Jakie są konsekwencje odrzucenia boskości Chrystusa dla chrześcijaństwa?

Jeżeli Chrystus nie jest Synem Bożym, to pustym słowem jest Jego orędzie, że Bóg tak umiłował świat, że dał nam swojego Syna; to Eucharystia nie jest spożywaniem Jego Ciała i Krwi; to w Jego ukrzyżowaniu nie było nic przełomowego i wcale On nie zmartwychwstał. Jeżeli Chrystus nie jest Bogiem, to – korzystam teraz ze sformułowań z 15 rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian – daremna jest nasza wiara i aż dotąd pozostajemy w grzechach, i jesteśmy bardziej od innych ludzi godni politowania. Słowem: chrześcijaństwo rozsypuje się w gruzy i staje się czymś absurdalnym.

Co prawda, już w starożytności istniało chrześcijaństwo ariańskie kwestionujące boskość Chrystusa. Dobrze jednak jest sobie przypomnieć, że całkiem nieźle przygotowało ono (razem z donatyzmem i gnostycyzmem) Azję Mniejszą oraz Afrykę Północną, ziemie przedtem chrześcijańskie, pod przyszłe zwycięstwo islamu.

Jeśli założymy, że profesorowie i studenci z Uniwersytetu La Sapienza, którzy protestowali przeciwko obecności Benedykta XVI na tej uczelni, są ludźmi odrzucającymi wiarę w Chrystusa, to ich postawa była konsekwentna: chrześcijaństwo jest dla nich absurdem, przeczy rozumowi, więc nie chcieli słuchać jego przedstawiciela.

Sprzeciw wobec odwiedzin papieża był zapewne tylko pretekstem. To była raczej manifestacja przeciwko pluralizmowi uniwersytetu, akt propagandy na rzecz zdominowania uczelni przez mentalność ateistyczną. Wojujący ateizm dał popis swoich marzeń na temat społeczeństwa przyszłości. Mnie wydarzenia z Uniwersytetu La Sapienza natychmiast skojarzyły się z własnym doświadczeniem. W latach sześćdziesiątych nie wolno mi było jako księdzu przyjść otwarcie na zaproszenie chorego do szpitala, bo przecież szpital był państwowy, a nie wyznaniowy.

Dlaczego współcześni ludzie tracą wiarę?

Wydaje się, że dzisiaj częściej odchodzą od wiary, niż ją tracą. Rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jaką rewolucję religijną spowodował biblijny judaizm ze swoją zasadą cotygodniowego święta i codziennej modlitwy. Ogromnie pomogło to zrozumieć, że Bóg nas kocha, że Mu na nas zależy, a nawet chciałby się z nami przyjaźnić. Bóg pogański był gdzieś daleko. Religijność pogańska nie tylko nie odczuwała potrzeby regularnego kontaktu z bogiem, ale nieraz doświadczała lęku, aby nadmiernym naprzykrzaniem się bogu nie narazić się na jego gniew z tego powodu, że próbujemy się z nim spoufalić. W tekstach starogreckich znajdziemy wiele świadectw tego lęku.

Współczesne zjawisko odchodzenia od praktyk religijnych ma wiele cech zwyczajnego regresu do dawnej religijności pogańskiej. Wielu współczesnych chrześcijan podobnie jak dawni poganie też tylko kilka razy w ciągu roku spełnia akty kultu, też w zasadzie uznaje Pana Boga i liczy na Jego opiekę, a w chwilach trudnych ucieka się do Niego szczególnie. Zarazem do głowy takim ludziom nie przyjdzie, żeby się z Bogiem zaprzyjaźnić. Tak jakby swoją wiarę wprowadzali w stan hibernacji.

Drugim, też bardzo skutecznym, sposobem odchodzenia od wiary jest częściowe zawieszenie w swoim życiu któregoś z Bożych przykazań. Współcześnie taki mechanizm odejścia od Boga odbywa się najczęściej poprzez zakwestionowanie trzech przykazań Dekalogu: nie zabijaj, nie cudzołóż i nie kradnij.

Czy często spotyka się ojciec z ludźmi deklarującymi się jako niewierzący?

Niektórzy nazywają się niewierzącymi, mimo że nimi nie są, a tylko zaniedbali się w chodzeniu do kościoła albo nie lubią księży. Bardzo bym przestrzegał przed manierą zbyt łatwego nazywania siebie człowiekiem niewierzącym. Nasze słowa

mają tajemniczą siłę sprawczą. Jeżeli zacznę się nazywać tym albo tamtym, w końcu naprawdę stanę się tym, kim się nazywam.

Jednym z obowiązków ludzi wierzących jest apostołstwo. Jak je realizować we współczesnym świecie?

Prawie nigdy mnie o to wierni nie pytają i zapewne ujawnia się tu wielka słabość naszego katolicyzmu. Wydaje się, że jako katolicy jesteście letni w wierze, za to pełni roszczeń i krytyk pod adresem Kościoła.

Natomiast często zwierzają mi się ludzie ze swoich niepokojów, czy nie zaparli się Chrystusa swoim milczeniem, kiedy w różnych kameralnych sytuacjach atakowano wiarę albo Kościół. Zazwyczaj radzę wówczas mniej więcej tak: jeżeli nie czujesz się na siłach podjąć takie wezwanie do rozmowy na temat wiary, to przynajmniej powiedz, że jesteś katolikiem i że taki sposób mówienia o twojej wierze lub o twoim Kościele sprawia ci przykrość.

Jeżeli zaś idzie o apostołstwo, to tak by się chciało, żebyśmy naprawdę starali się przekazać wiarę przynajmniej swoim dzieciom. Wystarczy chcieć słyszeć i poważnie traktować przynajmniej te pytania, jakie one same nam zadają. Niestety, nieraz rodzice nawet te okazje marnują. „Zapytaj o to katechetę” albo: „Jeszcze tego nie zrozumiesz” – mówią wówczas nieraz i uciekają w ten sposób od pytań swoich własnych dzieci. Przecież rodzice tracą w ten sposób niebywałą szansę ożywienia własnej wiary, a swoim dzieciom przekazują groźny komunikat, że wiara to nic ważnego.

Jedną z prawd wiary jest stwierdzenie, że Bóg nas kocha. Jednak dla wielu współczesnych, nawet deklarujących wiarę, miłość Boga jest abstrakcyjna. Twierdzą, że jej nie doświadczają, że Bóg o nich zapomniał. Z czego wynikają te problemy w relacji Bóg – człowiek?

To jest problem wszechobecnego dziś egoizmu. Wydaje się, że mamy niewielkie szanse realnego doświadczenia miłości Bożej, jeżeli prawie nie rozumiemy tego, czym jest miłość, jeżeli może nigdy nie byliśmy naprawdę bezinteresowni. Jeszcze gorsza wydaje się sytuacja duchowa takich ludzi, którym nawet w dzieciństwie zabrakło prawdziwej miłości. Sądzę, że to tutaj leży źródło podejrzeń, że może Ewangelie kłamią i Bóg wcale nas nie kocha.

Przyszedł do mnie kiedyś licealista, który zwątpił w ogóle w sens życia, a nawet w miłość swojej matki, bo „co to za miłość, skoro napędzają ją hormony”. Ja mu na to: „Tak, nie potrafię ci udowodnić ani tego, że życie ma sens, ani tego, że istnieje prawdziwa miłość. Ale spróbuj udowodnić to sobie sam. Spróbuj, tak jak potrafisz, uczynić miłość i bezinteresowność programem swojego życia. Z pewnością będzie ci to wychodziło kulawo, ale przekonasz się, że miłość istnieje naprawdę i że jest czymś realnym i wspinałym”.

Miłość jest możliwa, nawet kiedy po ludzku wydaje się już zupełnie niemożliwa. Świadcami tej prawdy są choćby Janusz Korczak czy Maksymilian Kolbe. Jeżeli zaś ktoś stara się czynić miłość, to już mu bardzo blisko do tego, żeby kochać Pana Boga.

Badania socjologiczne pokazują, że w Polsce maleje liczba wiernych chodzących co niedzielę do kościoła. Niektórzy wieszczą kryzys Kościoła i sugerują, że powinien on dostosować swoją doktrynę do prądów współczesnego świata. Jaka jest opinia ojca na ten temat?

Pierwszy kryzys, jaki wspólnota uczniów Chrystusa przeżyła jeszcze przed Wielkim Piątkiem, opisany jest w szóstym rozdziale Ewangelii Jana. Jego przyczyną było zgorszenie z powodu obietnicy eucharystii. Wówczas „wielu uczniów Jezusa się wycofało i już z Nim nie chodziło. Jezus zapytał wtedy Dwunastu: Czyż i wy chcecie odejść? Odpowiedział Mu Szymon Piotr: Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Świętym Boga”.

To tylko partie polityczne są silne poparciem swoich zwolenników i tracą na znaczeniu, kiedy ludzie odmawiają im swego poparcia. Kościół ma być silny swoją wiernością nauce Chrystusa, a tę powinien głosić – jak to sformułował apostoł Paweł – „w porę i nie w porę”. Zarówno wtedy, kiedy ona ludzi do niego przyciąga, jak i wtedy, kiedy z jej powodu ludzie się do Kościoła zrażają.

Na przykład ostatnie natarcie tzw. oświeconej opinii publicznej na Kościół, ażeby zmienił swoje stanowisko na temat metody *in vitro*, bardzo przypomina analogiczny spór o aprobatę dla sterylizacji eugenicznej, jaki miał miejsce zwłaszcza w okresie międzywojennym. Kolejne kraje europejskie uchwały ustawy o przymusowej sterylizacji „jednostek małowartościowych” ze względu na zdrowie społeczne, a protest Kościoła przeciw temu barbarzyństwu odbierany był wówczas przez ludzi oświeconych jako przejaw zacofania, z którego wcześniej czy później Kościół będzie musiał się wycofać. Kiedy w 80 lat po wprowadzeniu tej „postępowej” ustawy w Szwecji dokonano podsumowania dokonanych przez nią spustoszeń, stało się jasne, że Kościół bronił wówczas godności ludzkiej nas wszystkich.

Czy Kościołowi w Polsce nie szkodzi zbytne zaangażowanie polityczne duchownych, np. popieranie określonych partii?

Jedni mówią, że zbytne, drudzy, że za mało. Myślę, że cokolwiek by Kościół robił, ludzie i tak będą go krytykowali. Zarazem trudno nie przyznać, że nieraz Kościół krytykowany jest słusznie.

Czy w imię zasady apolityczności biskupi nie zwalniają się z obowiązku oceny moralnej niepokojących zjawisk politycznych? Ograniczają się do krytyki programu partii lewicowych, praktycznie nie oceniając ugrupowań prawicowych.

Z pewnością błędem jest doprowadzenie do sytuacji, w której wielu ludziom bycie chrześcijaninem kojarzy się z byciem zwolennikiem prawicy. To prawda, że w naszych czasach ludzie lewicy stanęli niemal gremialnie po stronie moralnego relatywizmu i partie lewicowe mają w swoich programach poparcie dla legalnej aborcji albo jeszcze większe zliberalizowanie prawa rozwodowego, co musi budzić sprzeciw z punktu widzenia wrażliwości chrześcijańskiej. Może jakimś chrześcijanom udałoby się stworzyć taką partię lewicową, która potrafiłaby zdystansować się od charakterystycznego dla współczesnej lewicy relatywizmu moralnego. Tradycyjny socjalizm, choć miał historycznie uwarunkowane alergie antykościelne, był postawą moralnie piękną, starał się bronić ludzi pokrzywdzonych i zmarginalizowanych. Coś bardzo niedobrego stało się w obozie lewicy, że zwyciężył w niej moralny relatywizm. Marzy mi się w Polsce partia lewicowa, z którą dałoby się wchodzić w sojusze, np. w obronie życia poczętego.